

Marian Laskowski  
Zakole Stare  
k. Mińska Mazowieckiego

Zakole Stare, 21 stycznia 1989 r.

© ARCHIWUM WSKODNIE

Urodziłem się 11 sierpnia 1915 r. we wsi Zakole Stare, gmina Mińsk Mazowiecki, województwo /obecnie/ siedleckie, dawniej warszawskie. Skończyłem szkołę powszechną, pracowałem w gospodarstwie rolnym rodziców, a później poszedłem z poboru do wojska, do 7 pułku ułanów lubeskich, stacjonującego w Mińsku Mazowieckim. Ukończyłem szkołę podoficerską i po jej ukończeniu pracowałem w rusznikarni. Nauczyłem się zawodu.

15 września 1939 r. miałem kończyć służbę, a dwa tygodnie przed tym wybuchła wojna. To było dla nas wielkie przeżycie, gdyśmy jechali na granicę niemiecką do punktu granicznego Chorzel, miejscowości Synowłoga Mała i Duża. Ostatniego sierpnia miałem służbę do północy, jako rozprawdzający wartę. Po służbie, utrudzony zasnąłem i obudził mnie nad ranem huk armat. Zaczęła się wojna.

Straszne były przeżycia, kiedy cofając się widzieliśmy wszędzie naszych zabitych, rannych i przeżywaliśmy ciągle bombardowania. Pod Garwolinem, na szosie, przeżyłem ogromne bombardowanie. Zbliżał się wieczór, nadleciał zwiadowczy samolot. Zapadł zmrok i rozpoczął się nalot. To było największe pobojuwisko, jakie widziałem. Masę ludzi zabito, ja szczęśliwie ocalałem.

Cofaliśmy się dalej w kierunku na Chełm, Zamość. Kiedy byliśmy w Rejowcu, dowódca szwadronu wysłał mnie do dowództwa brygady z meldunkami, do Kolonii Czarnoziem, wieś Rakołupy. Tam, w odległości około 15 kilometrów, miało być dowództwo brygady. Ujechaliśmy z dziesięć kilometrów, zapadła noc. Pytamy się miejscowych ludzi o sytuację, a oni nam mówią, że bardzo blisko są Niemcy i radzą nam nie jechać dalej. Powtarzało to wiele osób. Zawróciliśmy więc z powrotem do Rejowca i miałem zamiar zameldować dowódcy, iż droga jest nieprzejezdna. Przyjechaliśmy do Rejowca, nie ma żywej duszy, wygląda na to, że za chwilę mogą Niemcy wejść. Ludzie nam mówią, że dużo kawalerii pojechało w kierunku na Adamów, na Chełm Lubelski. Droga była

brukowana, ujechaliśmy z pięć kilometrów, bruk się skończył, las po obu stronach, a dalej łuny pożarów. Mówię do swego ułana - bośmy we dwóch byli - że my nie znajdziemy wojska. Przypomniałem sobie wówczas przeczytane przy pasieniu krów opowieści z wojny Burów z Anglikami w Afryce Południowej. Tam też dwu łączników zabłądziło i w takiej sytuacji zdali się na konie. Powiedziałem więc do tego ułana: - „Puszczamy wodze luzem, zobaczymy co konie zrobią?” Konie odrazu skręciły, szły całą noc, Bóg wie gdzie. Rano mgiełka, widać wioszczynę, a w niej nasze wojsko. W żaden inny sposób nie znaleźlibyśmy swej jednostki, a koń jest na tyle mądry, że idąc za węchem jak pies, trafił na nasze wojsko.

Wycofywaliśmy się dalej w kierunku na Zamość. Pod Suchowolą przeżyliśmy ogromny ostrzał artyleryjski. Zginęło wielu ułanów z naszej Mazowieckiej Brygady, z 7, 11 i 26 pułków ułanów. Sytuacja była bardzo ciężka. Wszyscy zaczęli uciekać. Myśmy mieli wóz taborowy z furmanem. Szkoda było stracić konie z wozem. Wsiadłem na konia i zawracam. Przejeżdżałem koło konia, który miał nogę oberwaną i kwiczał okropnie. Wziąłem karabin, zastrzeliłem go i wracam. I wtedy zaczepiłem o karpę od chojaka. Co robić? Szkoda zostawić sprzęt i konie. Wziąłem toporek - a tu artyleria ostrzeliwuje - i zaczynam ścinać tę karpę. Ściałem, mogłem ruszyć dalej i dołączyłem do swoich. Dojechaliśmy do Krasnobrodu i dostaliśmy się tam do niewoli.

Pędzono nas dzień inoc, w okrutnym deszczu, do Biłgórāja. Miasteczko było doszczętnie spalone. Wyrywaliśmy futryny z ruin domów, paliliśmy ogniska. Było tam bardzo dużo naszego wojska, wziętego do niewoli, pilnowanego przez Niemców. Ogrzaliśmy się trochę przy ogniu, a rano bez niczego, bez odrobiny jedzenia i napoju, popędzono nas na Frampol, Janów Lubelski do obozu.

Kiedy byłem mały, opowiadał mi taki żołnierz z pierwszej wojny światowej: - „Jak się dostaniesz do niewoli, to trzeba zaraz uciekać, bo później nie będziesz miał możliwości.” Tutaj tych możliwości od

początku nie było. Pędzą nas, a tu coraz bardziej nas siły opuszczają, bo każdy zmordowany, głodny, po parotygodniowych zmaganiach, w różnym stanie nerwów. Nie dojadają się, nie dosypiało, a teraz trzeba by uciekać i znowu się na nowe trudy narażać. Ale zostać tu, to iść dobrowolnie na poniewierkę niewoli.

Uciekać? Mówię jednemu warszawiakowi - cwaniak był nie z tej ziemi - „Uciekasz Wacek ze mną?” - „Nie, Manius, bo nas zabijają.” Byliśmy otoczeni Niemcami, co parę kroków piechurzy i kilku na koniach. Później mówię do Jasia Dobijańskiego z Czerniakowskiej ulicy: - „Jasiu! Uciekasz ze mną?” - „Manius! Z nikim, ale z tobą uciekam!” Ustawiliśmy się na skraju kolumny. Myślę, że trzeba udać konieczność załatwienia potrzeb fizjologicznych. Zaczęły się lasy. Mówię do Jasia - „Przeżegnaj się! Może Bóg nam pomoże?” Wyrwamy się. I szczęśliwie się udało.

Wiedzieliśmy, że w tamtych okolicach trafiały się wioski ukraińskie. Mówię więc do Janka: - „Wiesz, Janek! Nie pójdziemy do wsi, tylko do tej chałupy na uboczu.” Bardzo gościnnie nas gospodarz przyjął, nagotował kawy, przebrał nas w takie łachmany byle jakie, bośmy byli w wojskowych mundurach. Dał nam koszyki i motyki, mówiąc: - „Z ty do domów dojdziecie, nikt was nie zaczepi.” Ruszyliśmy, idziemy, idziemy. Jasio na trzecią noc gdzieś się zapuścił - jak to warszawiak, lekkomyślny - a mieliśmy po 120 złotych żołdu. Przychodzi następnego dnia pod południe. Ja się już denerwowałem, że gdzieś zginął. - „Manius!” - mówi - „już nie mam ani grosza. Trochę przepiłem, a resztę mi zabrali.” - „Janek!” - ja na to - „Źle jest! Na chleb i do chleba wystarczy, ale na wódkę nie będzie!”

Szliśmy dalej. Doszliśmy do krzyżówki Łęczna - Lublin. Nie można było dalej iść, bo Ruskie z Niemcami targowali się o Lublin. Zatrzymaliśmy się we wsi Łuszczów, przy szosie Łęczna - Lublin. Gospodyni mówi: - „Kopcie kartofle, to wam dam jeść i przenocuję.” Kopiemy jeden dzień, drugi. Był chyba już trzeci dzień, myślę sobie: - „Polecę - bo strasznie gorąco - do gospodyni i napiję się wody.” Wpadam do

domu, kuchnia otwarta, wiadro z wodą stoi. Nikogo nie ma. Zdziwiony idę dalej, drzwi do pokoju otwarte, a tam gospodarz półgłosem modli się przed obrazem Matki Boskiej. I słyszę słowa, które na mnie wówczas podziały okropnie i pod których wrażeniem długo byłem jeszcze: - „O Matuchno Najświętsza! Dopomóż, aby ta matuchna Rosja jak najprędzej do nas przyszła!” Zostawiliśmy czym prędzej naszych gospodarzy i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Szliśmy z kolegą przez Ryki, Garwolin. Była już prawie połowa października, śnieg zaczynał sypać i czasem nawet dość obfity. Ludzie jeszcze ziemniaki kopali. Po drodze spotykaliśmy zasypane śniegiem mogiłki naszych żołnierzy. To było takie smutne, tak przygnębiająco na nas działało. Zanocowaliśmy u niejakiego Krupy, kowala w Miętne, który nas później, na drugi dzień, jeszcze ugościł. Rozeszliśmy się na rozstajnych drogach. Jasiowi dałem jeszcze na drogę do Warszawy 10 złotych. Ja poszedłem na Siennicę, w kierunku na Mińsk Mazowiecki, a on na Warszawę. Szczęśliwie wróciłem do domu. Kiedy byłem już blisko zagrody, klęknąłem nad rzeczką i zmówiłem pacierz. To było dla mnie wielką rzeczą, że po takich straszliwych tarapatach wracam znów do domu.

Zająłem się gospodarstwem, ale w niedługim czasie, po mniej więcej roku od powrotu, jesienią 1940 roku zaangażowałem się w działalność konspiracyjną w organizacji ZWZ, przekształconej potem w AK. Jako rusznikarz, prowadziłem w początkowym okresie magazyn broni obwodu mińskiego. W szopie u mnie była wykopana piwnica i w niej przechowywałem broń. Wejście było nakryte sianem. Miałem tę broń pod swoją opieką, a do tego miałem jeszcze drużynę. Pracy było bardzo dużo. Na każdą akcję trzeba było broń przygotować, wydać, a po akcji zakonserwować i schować.

Zdarzały się i niebezpieczne sytuacje. Kiedyś przyniosłem broń, położyłem na sianie i usnąłem. Trzeba było ją przed schowaniem zakonserwować, a ja byłem strudzony. Myślę sobie, że jutro niedziela, nie będzie pracy, to zakonserwuję broń rano i włożę do schowka. Wpada

naraz jeden z żołnierzy do mnie: - „Marian! U mnie rewizja. Idzie trzech żandarmów do ciebie!” Spojrzałem szparą. Rzeczywiście idą. Mówię: - „Józek! Widzisz co jest. Żołnierz broni nie może opuścić!” Ale on był tchórzliwy: - „Nie! Ja jadę.” Siadł na rower i uciekł. Cóż i ja mogłem zrobić? Nabiłem dwa karabiny i ruską pepeszkę i przygotowany na wszystko, czekam. Tak powinno - moim zdaniem - być. Tak należało postąpić. Żołnierz broni nie powinien opuścić.

Zandarmi pochodzili, spenetrowali chałupę, stodołę i idą w stronę obory, a przy oborze była szopa, a w niej broń. Drzwi były zamknięte, ale wystarczyło mocniej w nie kopnąć i już by byli w środku. Stanęli w odległości trzech kroków, rozmawiają, rozmawiają. Ja zamrłem. Pamiętam, że modliłem się. Koszula na mnie cała była mokra. Po chwili zabrali się i poszli. Ocalałem.

Takich momentów było wiele. Kiedyś przyjechali do mnie po broń i radiostację. Był to luty, niedziela, raniutko. Radiostacja przechowywana była u pana Biernackiego. Przyjechał pan Szarek, ps. „Karnot” i panna Gruszczyńska z Ignacowa, śliczna panienska. Ona nie chciała broni. Pan Szarek wziął parapelkę, ja też i pojechaliśmy po radiostację. Wzięliśmy radiostację i jedziemy. Należało, aby jeden z nas ubezpieczał, ale cóż, panienska była ładna, zagadaliśmy się.

Na Barczącej, pierwszym przystanku kolejowym za Mińskiem w kierunku na Siedlce, istniał posterunek policji, w którym pełniło służbę wielu tzw. Kałmuków. Było ich tam chyba z osiemnastu. Patrolowali całą okolicę, wszędzie można się ich było spodziewać. Mijamy chałupę, tak<sup>l</sup>szczytem wysuniętą na Zakole - Wiktorowo, a tu nagle wyskakują żandarmi. - „Hände hoch! Ausweiss!” Sprawnie nas otoczyli, chyba wszyscy, cała osiemnastka była, bo pełno ich było wokół nas. - „O Jezzu! Śmierć” - pomyślałem. Mnie śmierć nieraz w oczy zaglądała, ale tu było naprawdę groźnie. Ale nad wszystkim jest Pan Bóg, który zawsze nad człowiekiem czuwa i ratuje. Podajemy dokumenty. Ich komendant - Suchy się nazywał - pyta się mnie, bo ja najbliższym mieszkałem:

- „Kim oni są dla ciebie?” Mówię: - „Moja kuzynka i mój kuzyn.”  
- „Acha!” - i przygląda się im. Patrzy, patrzy. Podziwiałem tę pa-  
nienkę, że nie dostała szoku nerwowego. Po chwili podniósł rękę:  
- „Jedźta!” Ruszyliśmy szybko, żeby się nie rozmyślili i nie pociąg-  
nęli po nas. Przecież oni mogli nas tam rozszarpać. Przylecieliśmy,  
ówiartkę wódki wypiliśmy u mnie w domu. Odprowadziłem ich jeszcze  
z bronią na krzyżówkę Stanisławów - Mińsk Mazowiecki. I tam ostatni  
raz pożegnałem się z Szarkiem. Za tydzień Janek zginął.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. szliśmy na pomoc Powstaniu  
Warszawskiemu. Szli tylko ochotnicy, sześćdziesięciu ludzi, z bronią  
maszynową, pod dowództwem „Lubicza”. Idziemy. We wsi Głupianka je-  
dzie Ruski na koniu. - „Kakoje wy wojsko?” - „To ty, na naszej zie-  
mi będziesz się pytał, jakie my wojsko?” Dołożyliśmy mu zdrowo.  
- „Znajesz, kakije my wojsko?” - „Znaję.” Wypuściliśmy go i źle  
żeśmy zrobili, bo trzeba go było jako zakładnika wziąć. Dotarliśmy  
do Radachówki, prosiaka żeśmy zarżnęli, obiad się szykuje. Czarno  
zrobiło się na polu. Chyba kilkudziesięciu Ruskich było na każdego  
z nas. Czapkami by nas nakryli. Rozstawili karabiny maszynowe i my  
tak samo przygotowaliśmy się do obrony. Ale cóż! Nas było tylko  
sześćdziesięciu. Dowódca „Lubicz” powiedział, aby każdy ratował się  
na własną rękę. Rosjanie otoczyli nas z trzech stron i usiłowali  
zamknąć pierścień. Ja, z jednym z kolegów, uciekaliśmy przeszło pięć  
kilometrów, do Władzina. Tam nas obkoczyli, ale myśmy wcześniej zdą-  
żyli broń ukryć. Chłop zboże zwoził z pola i wetknęliśmy broń w sno-  
pki. - „Orużije mieli?” - „Nie mieli.” Do Słupczyna nas zapędzili,  
przez Świder przetransportowali, a stamtąd w nocy udało nam się  
uciec. Przyszliśmy po zostawioną broń, gospodarz nam wydał i wróci-  
liśmy do domów.

W niedługim czasie po powrocie, w drugiej połowie sierpnia  
wyłapano nas i wywieziono samochodami na Majdanek. Mówiono, że zo-  
staniemy wcieleni do formujących się pułków Wojska Polskiego. Obóz

mieścił się po prawej stronie drogi prowadzącej z Lublina na Zamość. Po wejściu za bramę, po prawej stronie znajdował się mały baraczek, a w nim punkt ewidencyjno-kontrolny. Spisali tam nasze personalia, a co drugi ze spisujących był Żydem. Nie podobało nam się to wojsko. Postanowiliśmy, ja i dwaj moi koledzy, uciec. Ucieczka stamtąd nie była łatwa. Podwójne druty, co prawda nie pod prądem, ale trudne do sforsowania. Przyszedł dzień Matki Boskiej. - „Uciekamy” - mówią do mnie koledzy. - „Zdajecie sobie sprawę, że będzie egzekucja, jak nas złapią?” Na bocianach, oraz z zewnątrz i wewnątrz, pilnowały straże. Chodzili jak w zegarku. Nie możemy uciekać; trzeba, żeby ci na bocianach się odwrócili i by patrolu nie było w pobliżu. Czas się dłuży, czekamy i czekamy. Ułożyliśmy jedzenie przy samych drutach, by być najbliżej, kiedy nadarzy się okazja. Nareszcie. Przeżegnałem się, wezwałem boskiej pomocy i przez druty. Niedaleko ludzie owies wiązali na polu, więc my też trzymamy kiście owsa i pomagamy wiązać. Przechodził patrol, ale ludzie na polu byli przyzwoici. Gdyby pokazali palcem, to by nas zgarnęli. - „Szczęść Boże!” - powiedzieliśmy i dalej w kraj. Za pół litra bimbru Ruscy jadący do Warszawy podwieźli nas do Mińska Mazowieckiego, nie wiedząc, kim jesteśmy.

Po powrocie do rodzinnego domu włączyłem się znowu w konspirację. U nas przechowywana była radiostacja i ja wchodziłem w skład jej ochrony. 24 listopada 1944 r., późnym wieczorem, byłem w towarzystwie kolegów. Wypiliśmy jakąś małą wódkę, pośpiewaliśmy trochę i wyszedłem do ochrony radiostacji, która miała tej nocy pracować. Idąc, słyszałem hukanie sowy w lesie i zastanawiałem się, jakie ona nieszczęście wróży. Radiostacja mieściła się w domu gajowego; ulokowana była w piwnicy. Na zewnątrz domu były wystawione warty, a my w domu słuchaliśmy wiadomości radiowych. Naraz dobijanie się do drzwi, okien. Wpadło do domu kilku Ruskich. - „Ruki w wierch!” Byliśmy zaskoczeni, bo przecież były warty na zewnątrz. Związali

nas wszystkich. Tam, gdzie ja siedziałem, na łóżku pod podglówkiem był pistolet colt, należący do dowódcy. Ja nie wiedziałem o tym. Ruski, rewidując, natknął się na colta, zaklął dosadnie, schował<sup>g</sup> do kieszeni, wyciągnął swojego katyniaka i przystawił mi do głowy. Zamknąłem oczy, czekałem, kiedy strzeli, ale nie strzelił, tylko zaczął mnie w straszliwy sposób katować. Zemdlałem, całą głowę miałem zmasakrowaną, pokrwawioną. Wylali na mnie wiadro wody. Trochę oprzytomniałem. Po „załatwieniu” mieszkania przypuścili szturm do piwnicy, gdzie była radiostacja. Otworzyli drzwi i mnie wpychają przed sobą do piwnicy. Koledzy z obsługi umiejętnie operowali ogniem, obydwu Sowietów ranili, być może śmiertelnie, a mnie żadna kula nawet nie drasnęła. Miałem szczęście u Boga. Chciałem uciekać, ale byłem tak zmasakrowany, że nie dałem rady. Nogi nie chciały mnie nieść. Postrzelenie tych dwu Ruskich spowodowało takie zamieszanie, że udało się kolegom obsługującym radiostację uciec i zabrać ze sobą sprzęt.

Wyciągnęli mnie za stodołę. Jeden z Ruskich mnie tam poprowadził, inni podbiegli mu na pomoc, pytając: - „Kakij czort?” - „Eto partizan!” - odpowiedział. Dostałem więc jeszcze raz kolbą w głowę i ponownie zemdlałem. Skopali mnie jeszcze, ale wtedy tego nie czułem, bo byłem nieprzytomny. Pociągnęli mnie potem z powrotem do domu. Już się cicho zrobiło. Jeden z Ruskich mówi, by mnie położyć na łóżku, bo jestem chory, a drugi na to, że nie, bo ucieknę. Zdarli ze <sup>my</sup>nie kożuch, zostałem w sweterku i gumowych butach.

Oprócz mnie złapali jeszcze sześciu: gajowego, u którego nas nakryto i pana Wołczyńskiego - wysiedleńca, mieszkającego w naszej okolicy. Byli to starsi ludzie. Ja i czterech moich kolegów byliśmy młodzi. Poza mną byli to: Stefan Skleśnicki, ps. „Fifi” z Wiciołowa, Janek Filipczak z Janowa - wsi, „Spec”, którego imienia i nazwiska nie pamiętam oraz „Vis”, który za Niemców zabił Kreislandswirta w Mińsku.



Załadowano nas na samochód i przewieziono do Urzędu Bezpieczeństwa w Mińsku Mazowieckim. Wyszedł jakiś funkcjonariusz i stwierdził, że nas nie przyjmie, bo ciasno. To chyba było dobre dla nas, bo gdyby nas przyjęto, to nie wiadomo, czy byśmy do rana doczekali. Rozstrzelano by nas, jak wielu innych, którzy tam życie stracili.

Powieźli nas do Lublina. Jeszcze ciemno było, kiedy znaleźliśmy się tam. Podwieziono nas na ulicę Uniwersytecką i wprowadzono do takiego dużego budynku. Rozwiązano nas i pokotem leżeliśmy na podłodze korytarza. Przechodził rano jakiś pułkownik NKWD i pyta się, co my tutaj robimy. Zacząłem tłumaczyć, że handluję zbożem i tylko przez przypadek się tu znalazłem, bo zatrzymała mnie partyzantka. - „A ty prawdę mówisz? - zapytał po rosyjsku. - „Prawdę” - odpowiedziałem. - „My dojdziemy do prawdy, a jeżeli kłamiesz - rozstrzelamy” - powiedział pół żartem, pół serio. Tak przeczekaliśmy cały dzień. Następnej nocy, chyba koło drugiej po północy, leżeliśmy nadal na korytarzu, zaprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, w którym było kilku enkawudzystów. Podchodzi jeden i pyta się, oczywiście po rosyjsku, czy palę. Odpowiedziałem, że nie. Oświadczył, że kożucha mi nie oddadzą, bo to inne wojska zabrały, i pyta: - „A ty do nas pretensji o to nie masz?” Ja na to: - „Jest wojna, ja szczęśliwy, że żyję.” I po tej „przyjacielskiej” rozmowie jak nie wrzaśnie: - „Odwrócić się!” Zrobiłem to, a ten mi ręce z tyłu związał jakimś kablem. Przypomniały mi się słowa pułkownika: - „Budiesz łgat' - rosstrieliajem!” A oczywiście, że kłamałem. Wyprowadza mnie. Myślałem, że już łupnie gdzieś po drodze.

Wyprowadzono mnie przed budynek, przypędzono też resztę naszych. Stał tam autobus, do którego nas wsadzono. Pojechaliśmy na Szopena 18, gdzie mieściło się NKWD. Zajmowali tam dwie pożydowskie kamienice Zyskmana. Wprowadzono mnie na podwórko, a stamtąd do piwnicy - celi nr 4. Zostałem tam już dwu nieszczęśników: pana Kamilskiego z Sanoka i pana Marcinkowskiego - studenta. Pytam się ich: - „Panowie! Co mnie czeka za takie coś?” - „Za samo AK ma pan 10 lat, do tego broń,

radiostacja. Sowieci zostali ciężko ranni, niewiadomo czy żyją? Kara śmierci." Marcinkowski mówi, że jest już po sądzie i czeka na egzekucję. Żeby nie rozmyślać, nie załamywać się, Marcinkowski uczył nas angielskiego. Następnego dnia po moim przybyciu była niedziela i z pierwszej lekcji wówczas prowadzonej chyba poza „how do you do?” nic mi nie zostało w pamięci. Nie było głowy, aby myśleć o angielskim i coś więcej zapamiętać. Po tej pierwszej przedpołudniowej lekcji dali nam w południe jakąś zupinę, a po niej wchodzi enkawudzista: - „Nu, Marcinkowski! Dawaj so wsiem!” - „Kochani! Już na tym świecie się nie zobaczymy.” Zalał się łzami, my też. Poszedł na śmierć.

Zostałem z Kamilskim. Ten załamał się psychicznie. Uważał, że Pan Bóg, jako Wszechmogący, nie powinien go w takie nieszczęście pakować. Złorzeczył przeciw Bogu. Bardzo ciężko było z tym człowiekiem wytrzymać.

Zaczęła się zima. W piwnicy było bardzo zimno. Przytulaliśmy się do siebie, aby się trochę ogrzać, aby było chociaż odrobinę cieplej. Kamilski był zawszony, ale co tam wszy. Jeden na drugiego chuchał, było trochę cieplej. Chodziliśmy obydwaj na badania. Jednej nocy Kamilski wrócił z badań i mówi: - „Za godzinę znów idę.” Nic mi nie powiedział, a on szedł za godzinę na egzekucję. Ja wtuliłem się od wschodniej strony w kąt, trochę się zdrzemnąłem, chociaż trudno było spać, bo okropne było zimno. Obudziłem się, już szarzało. Wołam: - „Panie Kamilski! Panie Kamilski!” Nikt się nie odzywa. Na ścianie wisi tylko węzełek z chlebem. Zrozumiałem, że zostałem sam i teraz moja kolejka. Bardziej przykrej chwili nie życzę najgorszemu wrogowi i nie chciałbym drugi raz w życiu czegoś podobnego przeżywać. Zacząłem straszliwie płakać. Chciałem żyć. Miałem nerwy zszarpane, byłem zbity. Żadnej pomocy nie było. Tak siedziałem w tym zimnie, brudzie, mokrych ścianach, mokrej podłodze. Nie mogłem już ścierpieć tego zimna, tłukłem w drzwi wołając,

by mnie zabito. Wpadał na to enkawudzista i z krzykiem: - „Mołczat! Faszyst!” tłukł mnie kolbą karabinu. W takich warunkach, trudnych do wyobrażenia, w strasznym zimnie, z wybitym w celi okienkiem przy mrozie dochodzącym do 20<sup>o</sup>, przeżyłem w samotności trzy i pół tygodnia.

Przed samym Bożym Narodzeniem wsadzono do „mojej” piwnicy pułka Jana Kotowicza, d-cę strzelców podhalańskich i Witolda Bieńkowskiego, brata Władysława Bieńkowskiego, późniejszego ministra oświaty. Z nimi się liczone. Zaraz się piec znalazł, a ja oczywiście w nim paliłem. Mieli depozyt, mieli bułeczki, masełko; wszystko, co chcieli, to mieli. Przynoszono im to wszystko, z nimi się liczone. Oni oczywiście dzielili się ze mną tym wszystkim. Razem spędziliśmy wigilię, dzieliliśmy się bułką, zamiast opłatkiem, którego nie było. Ja odrazu odżyłem, bo i na duchu mnie pokrzepiono, i dokarmiono, a przede wszystkim było cieplej. Nie byli oni ze mną długo. Zaraz po Bożym Narodzeniu zabrali ich z tej piwnicy. Pułkownik Kotowicz powiedział mi przed odejściem: - „Jeżeli pan będzie mnie chciał kiedyś zobaczyć, to niech pan szuka fotografii z ostatniej defilady w Krakowie przed marszałkiem Piłsudskim. Ja stoję tam jako straż przyboczna.” Gdzie ja nie szukałem, ale w końcu znalazłem. Stoi pułkownik w pelerynie, w kapeluszu z piórką, przy marszałku Piłsudskim. Pan Bieńkowski dał mi adres, ale ja zgubiłem. Pamiętam jedynie, że mieszkał w Miedzeszynie, a przed wojną był dziennikarzem w Gdańsku. Został nawet kiedyś przed wojną pobity tam przez bojówki hitlerowskie. Z rozrzewnieniem pożegnałem się z nimi.

Niedługo byłem sam. Wkrótce wsadzono do mnie nowych. Byli to chłopcy z Lublina. Niestety nazwisk ich nie pamiętam. Mówiliśmy o ucieczce, ale ucieczka stamtąd nie była możliwa.

Po pewnym czasie trafiliśmy wszyscy, całą siódmką, na zamek lubelski, na „górną basztę”. Mrozy były w tym czasie silne. Zimno

nami trzęsło. Tyle tylko ciepła było, ile zdołaliśmy nagrzać swoimi ciałami. Ja pierwszy raz zetknąłem się z więzieniem, z taką ilością ludzi stłoczonych w jednej celi. Przygnębiało mnie to okropnie. Z „górnj baszty” przepędzano nas na drugi oddział, do pomieszczeń sanitarnych, do ustępu. Czekaliśmy w kolejce na korytarzu, mróz był okrutny. Pewnego dnia w tej kolejce kolega ulitował się nademną, dał mi marynarkę, bo byłem strasznie przemarznięty. Miał litość nade mną. Podskakujemy na tym korytarzu, aby się trochę rozgrzać; nadszedł na to jakiś człowiek, którego wówczas jeszcze nie znaliśmy. Okazało się później, że był to Nestorowicz, zastępca naczelnika więzienia. Mówił niby po polsku, ale z takim wyraźnym zaciąganiem ukraińskim, czy rosyjskim. - „No, a wy co tutaj robicie ?” - pyta się nas. Mówimy, że nas NKWD przywiozło. - „Ot, wam wesoło” - on na to - „wy się cieszy-  
módlcie się do tej ściany,  
cie. Odwróćcie wy się do tej ściany, Vbo wy świata już oglądać nie będziecie.” Tak nas pocieszał, przeplatając kilkakrotnie przemowę ozdobnikiem: - „Job waszu mat’.” Takie spotkanie z więzienną władzą, taka zapowiedź naszych losów, też nie dodawały otuchy, nadziei. Wszystko, z czym się tam człowiek stykał, działało przygnębiająco.

Niedługo przeniesiono nas siedmiu na pierwszy oddział więzienia. Trafiliśmy do celi nr 7, położonej przy baszcie. Cella była zimna, z betonową podłogą. Jedynym sprzętem był stojący w kącie kibel. W tej celi spędziliśmy ponad półtora miesiąca. Pamiętam z tej celi przede wszystkim zimno i głód. Spaliśmy na betonie, bok marzł niemiłosiernie, przekręcaliśmy się więc na komendę na drugi, aby zagrzać trochę teA przemarznięty. Do celi, w której byliśmy, wsadzono po pewnym czasie pana Meissnera z Podludowa, majątku pod Kockiem. On dostawał od rodziny paczki i dzielił się z nami tym, co otrzymał. Dostałem i ja kiedyś od niego trochę cukru. Wygłodzony byłem taki, iż wydawało mi się po jego zjedzeniu, że już odzyskuję siły.

Wczesną wiosną 1945 roku przeniesiono nas do północnego skrzydła zamku, od strony kościoła św. Mikołaja. Cele nie miały tam koszy.

Ja raz się wychyliłem, a tu jak nie strzeli z bociana, tylko mi kuła koło głowy świsnęła. Tam mnie zastały święta wielkanocne. Jakie to było przykre, kiedy dzwony biły na rezurekcję, a my siedzieliśmy zamknięci. Mówili Lublinianie, że w mieście są 22 kościoły, które biciem swych dzwonów oznajmiały Zmartwychwstanie.

Na górze w tym skrzydle siedział „Jemioła”, skoczek z Anglii i Terlecki, podobno z Krasnegostawu. Oni zawsze rano śpiewali „Ave Maria”. Kiedy kroki oddziałowego oddalały się od nas, porozumiewaliśmy się z nimi, dodawaliśmy sobie ducha. Pewnego ranka śpiew ucichł. Odzywaliśmy się rano - nic. Ale patrzymy przez szpary na podwórko, prowadzą ich na rozprawę. Niekiedy rozprawy odbywały się także w kaplicy i tam ich właśnie prowadzono. Po rozprawie już nie wrócili do celi. Już „Ave Maria” nikt nam nie śpiewał. Poszli niedługo na egzekucję.

Z tej celi, ja i koledzy, zostaliśmy rozrzućeni po różnych innych. Ja siedziałem w kilku różnych celach, a między innymi w celi 11, sąsiadującej z celą badań. Była to jedyna cela, gdzie podłoga była z desek, ale pod tą podłogą żyła masa pluskiew. Wszy były również koszmarem więzienia na zamku. W celach, które ja przeszedłem, w których przed wojną siedziało 20 - 30 ludzi, teraz umieszczano 120 - 130 więźniów. W dzień głowa przy głowie, w nocy jeden na plecach drugiego. Wszy, całe stada, przechodziły z jednego na drugiego. Wybić tego nie można było, prosił tylko jeden drugiego, żeby mu z kołnierza zgarnął. Do tego dochodził głód. To, co nazywano zupą, było wodą z pływającymi obierkami ziemniaków, a na dodatek nie dosolone to było. Na dzień dostawaliśmy dwanaście deko chleba. A jaki to był chleb? Błoto z trocinami z kasztana, a nie chleb.

Wychodząc na spacer byliśmy instruowani, że trzeba chodzić po dziedzińcu z pochyloną głową, z rękami z tyłu i nie rozglądać się na boki. Głowy nie można było podnosić i patrzeć szerzej, bo

zaraz wrzeszczał pilnujący, a może nawet strzeliłby z bociana, stojącego na środku dziedzińca. Zdarzało się, że jeden z więźniów, murarz Szyszko czasami w czasie spaceru pajdkę chleba mi rzucił. Później, kiedy byłem na funkcji u szewców, dziękowałem mu za to i pytałem, dlaczego to robił, przecież mnie nie znał? - „Bo tyś najgorzej wyglądał” - odpowiedział. Musiałem źle wyglądać, skoro się na de mną litowali.

We wspomnianej już celi 11 śniły mi się kiedyś buty. Znalazł się i wróż. - „Może byś mi powróżył?” - mówię do niego. - „Daj pół pajdki chleba, to ci powrózę” - odpowiedział. Boże - pomyślałem - czym tu się dzielić. To przecież raz, dwa do ust i już nic nie ma. Ale zdecydowałem się. - „Masz” - powiedziałem, - bo ciekawiło mnie, czy sprawy czasem nie będzie. Nerwami się żyło. Każde skrzypnięcie drzwi, to myślałem, że już, bo sprawa się zbliżała. Dałem pół pajdki chleba, wróży mi. Pytam się, czy sprawa. - „Nie” - odpowiada. Dobry wróż był; mówi, że nie sprawa, tylko zmiana miejsca. Jaka zmiana miejsca, myślę sobie? Otwierają się drzwi: - „Szewców potrzebuję!” - „Ja szewc!” - krzyczę, a przecież ani szpilki nie umiałem zabić. - „A znasz robotę?” - „Znam.” - „No, to chodź ze mną.” A mnie nogi drygają, bo nic nie umię. Ale ktoś mi mówi: - „Dzień dobry!” - „A skąd mnie pan zna?” - pytam. Na pytanie odpowiedział pytaniem: - „Włodarczyka nie znasz?” To był człowiek, który pomagał, Włodarczyk, brygadzysta szewców. Tego człowieka będę do śmierci pamiętał, bo w nieszczęściu mi rękę podał, poratował mnie. - „Panie Włodarczyk” - mówię - „poratuj mnie pan, bo ja nic nie umię.” - „Dobrze! Sprawa załatwiona.” Majster przychodzi i pyta o mnie: - „Zna robotę?” - „Dobry chłopak, zna” odpowiada Włodarczyk. W warsztacie trzeba było drewniaki obijać. To była prosta robota.

Naczelnikiem był Żyd. Chodził pięknie ubrany, w mundurze, z koalicijką, w pięknych, szytych butach. Myśmy robili dwie pary dziennie, ale znalazł się głupek taki, co chciał przypodobać się temu Żydowi i zrobił dziesięć par. I myśmy musieli od tego czasu dziesięć

par robić, a na zrobienie tej ilości trzeba się było dobrze nauwijać. Broń Boże, żeby była jakaś nagana, bo by wypędzili z warsztatu z powrotem do celi.

W warsztacie robiło się też różne fuchy dla więźniów. Można było zawsze znaleźć kawałek jakiegoś materiału, były w warsztacie koptyta, prawidła, robiło się więc ciapy. Za to można było od „zamożniejszych” paczkowych więźniów dostać nawet puszkę tuszonki, lub inne jedzenie, ułatwiające przetrwanie, ratowanie organizmu. Po cichu kwitła taka robota. Zrobiłem i ja kiedyś takie ciapy dla znajomego; idą więźniowie ze spaceru, ja oddaję ciapy, on mnie puszkę. Nie wiedziałem, że tam z boku patrzy na to zastępca naczelnika, wspomniany już Nestorowicz. Ujrzał, woła mnie i mówi z ukraińskim akcentem: - „Chodź! Ja ciebie zamknę do szafy!” I prowadzi mnie ten łajdak do karca. Karzec, to była taka maleńka celka, gdzie ruszyć się nie można było, człowiek stał w wodzie i woda lała się na niego. Karce były tak wilgotne, że w parę minut po zamknięciu cały byłem mokry. Uratowało mnie to, że pora była letnia. W zimie bardzo często więźniowie dostawali po karcu zapalenia płuc, a od tego do gruźlicy i śmierci było bardzo blisko. Przecierpiałem jakoś te 24 godziny. Klucz zgrzytnął w drzwiach, a ja się zastanawiałem, czy wracam za karę do celi, czy też będę nadal pracował. Okazało się, że wróciłem do pracy w warsztacie szewskim, ale z robienia ciapów już zrezygnowałem, aby nie podpaść ponownie.

Pewnego dnia przyszły paczki i oddziałowy nakradł z nich tuszonek i schował je za szafę. - „O ty skurczybyku!” - pomyślałem - „To ty będziesz naszych kolegów okradał! Trzeba by ci to zabrać.” Dogadałem się z Olkiem Wójcikiem od krawców i Olkiem Jurkowskim /ze stacji Motycz/, szwagrem „Rysia”, pracującym razem ze mną u szewców. Zabraliśmy wszystkie schowane produkty. Odgrzewaliśmy na piecyku w warsztacie i jakoś się żyło. Oddziałowy zobaczył, co się stało i zaczął szukać. Wchodzi majster razem z oddziałowym: - „Oddziałowemu chleb zginął. Rewizja!” - mówi majster. Spojrzeli na nas

i poszli. - „Ocho!” - mówię do Olka - „Robota u szewców się skończyła.” I tak było. Wieczorem trafiliśmy na celę nr 20 na trzecim oddziale. Z Olkiem spędziłem tam resztę soboty, niedzielę - pomodliliśmy się w południe - a wieczorem położyliśmy się obok siebie, niedaleko drzwi, i zasnęliśmy. Rano Olek mówi: - „Manius! Okropne sny miałem tej nocy. Co będzie?” Niedługo drzwi się otwierają. - „Aleksander Jurkowski! Wychodzić u rzeczami!” - „Manius! Masz koszulę ode mnie. Ona mnie już nie będzie potrzebna.” Dał mi koszulę, ucałował się ze mną, bo spodziewał się wyroku śmierci, wyszedł i tyle go widziałem. Już nie wrócił do naszej celi. Wcześniej jeszcze zabrano Jurkowskiemu buty - oficerki; dostał drewniaki.

Jurkowski był niskiego wzrostu, był miłym człowiekiem, bardzo się z nim zaprzyjaźniłem. Śpiewał sobie często „tango iluzjo”. Opowiadał mi kiedyś, że „Rys” - jego szwagier, dokonał napadu na bank w Lublinie. W akcji brało udział dwunastu, a trzynastą była żona Jurkowskiego - siostra „Rysia”. Ktoś podobno zginął w czasie akcji, część innych schwytano i osądzono, niektórych - podobnie jak Jurkowskiego - skazano na śmierć. Przeżyłem bardzo jego śmierć.

Wspominany Olek Wójcik trafił wcześniej do więzienia na Zamku z okolic Sokołowa. Przez pewien okres czasu zatrudniano go do prac porządkowych po wykonaniu wyroków śmierci. Robił porządek, przysypywał trocinami i usuwał krew po zamordowanych nieszczęśnikach. Sprzątał miejsca po wykonaniu egzekucji. Opowiadał mi, że kiedyś wykonywano wyrok na jakimś tęgim podoficerze. Dużo krwi po każdej egzekucji było, ale po tym nieszczęśniku, to było tak, jak po żadnym innym. Może się bronił i zraniono go przed zabiciem? Tyle wiem o tym, ile on mi opowiedział. Gdzie i jak wykonywano wyroki, tego nie wiem.

Niedługo przeniesiono mnie do celi nr 13 na pierwszym oddziale. Było tam kilka cel wzdłuż korytarza i dalej baszta, wchodząca częściowo w korytarz. Cele od 1 do 6 były celami śmierci, w których



umieszczano więźniów oczekujących na wykonanie wyroków. Siódemka była już zwykłą celą, a za nią była baszta. Za basztą były cele od 8 do 15. Ja dostałem się do celi 13. Znowu trafiłem w ten koszmarny wyędniały cieni ludzkich. Niesamowity smród, wszy. Trochę odżyłem w czasie pracy w warsztacie i teraz znowu powrót do tej olbrzymiej zbiorowej celi. Postanowiłem się jakoś ratować. Prowadzą nas do ustępu. Ja wziąłem pod pachę koszulę, którą dostałem od Olka Jurkowskiego. Prowadzi nas taki młody chłopak. Mówię do niego, tak ni z tego, ni z owego, bo go nie znałem: - „Jak się masz?” - „A skąd ty mnie znasz?” - pyta się. - „Znam cię. A czym ty jesteś?” - „Pomocnikiem oddziałowego.” Wydawało mi się, że trafiłem na porządnego chłopaka. Mówię: - „Masz koszulę ode mnie i ratuj mnie. Nawet rękami będę nawóz z ustępu wybierał, byle nie siedzieć w tej celi.” - „Popatrzę.” I porządny był chłopak z niego. Mógł wziąć i nic nie pomóc. Cóż byłbym mu zrobił? A tu niedługo drzwi celi otwierają się: - „Marian Laskowski!” - wołanie - „wychodzić!” Miałem wycierać ściany, okna, ścierać korytarz, dbać o czystość. Do ustępu mnie nie wziął.

Pracowałem kiedyś na korytarzu przy porządkach. Oddziałowy siedział na końcu korytarza przy celi 15, a ja byłem przy celach śmierci w drugim końcu korytarza. On mnie nie widział, ponieważ zasłaniała mnie baszta wchodząca do połowy szerokości korytarza. Ścierałem ścianę na wysokości cel śmierci, a wizjer w drzwiach czwartej celi był nie zasunięty. Słyszę w pewnym momencie znajomy głos: - „Maniuś! Maniuś!” Był to Olek Jurkowski. Patrzę na oddziałowego, nie idzie w moją stronę, więc zbliżyłem się do tej celi. - „To ty, Oluś?” - pytam. - „Tak. Dostaliśmy wszyscy karę śmierci. Maniuś! Co to będzie?” - „Pisałeś Oluś o ułaskawienie?” - „Tak, pisałem.” Naraz słyszę, człap, człap. Oddziałowy już idzie w moim kierunku. Gdyby mnie przychwycił na rozmowie, to napewno trafiłbym z powrotem do celi. Zdążyłem jeszcze powiedzieć Olkowi: - „Módl się

do Boga Wszechmogącego, do Matki Przenajświętszej. Niech cię ratują, Oluś." Odsunąłem się od drzwi i wycieram ściany.

Na noc trafiłem do celi, bo nie było gdzie nocować. Rano robię to samo, co wczoraj. Podszedłem do czwartej celi. Wizjer też był nie zasłonięty. Pytam po cichu: - „Jest Aleksander Jurkowski?” - „Nie” - odpowiadają - „wszystkich w nocy rozstrzelali.” Już następni siedzieli. Tak było na zamku. Egzekucja Olka odbyła się w sierpniu 1945 roku. Zasmuciłem się śmiercią Olka. Do dziś go wspominam z wielkim szacunkiem.

Dowiedziałem się później od jednego z więźniów, że egzekucje odbywały się w podziemiu. Jednym z biorących w tym czasie udział w egzekucjach i podobno nieraz masakrujących więźniów przed egzekucją był niejaki Knap. Podobno podziemie skazało go na karę śmierci. On prawie wcale nie opuszczał zamku, ale raz w niedzielę wyszedł i w mieście go zastrzelono.

A mnie szczęście sprzyjało. Potrzebowali blacharzy i ślusarzy. Zgłaszam się, mówię: - „Ja blacharz.” Z powątpiewaniem patrzyli na mnie. - „Ty i u szewców byłeś, i ściany wycierasz.” - „Jak bym nie umiał” - mówię - „to bym się nie zgłaszał do pana.” - „To jak mi zalutujesz trzy kotły w kuchni, to cię przyjmę.” Poszedłem, zalutowałem i przyjął mnie. Zabrał mnie do tej roboty, z czego się bardzo ucieszyłem. Robiłem u blacharzy. Kryło się dachy, reperowało m. in. na baszcie. Opalałem się, wolność widziałem, Lublin oglądałem. Majstrem grupy ślusarzy - blacharzy był Wróblewski. Był on wysiedlony z zachodu. Jego żona też była w więzieniu na zamku. Wróblewski był bardzo dobrym dla nas człowiekiem.

Kiedyś wiatr oberwał kosz przy jednej<sup>z</sup> cel kobiecych. Reperowaliśmy to, trzeba było ten kosz dźwigać na górę, a przy drabinie stał strażnik z karabinem, obserwował naszą robotę i pilnował, by broń Boże nikt nie zamienił słowa z tymi kobietami w celi, przy której naprawialiśmy kosz. Cela była zatłoczona, te kobieciny siedziały brudne, umorusane, zapłakane. Warunki były zupełnie podobne

do tych, jakie panowały w celach męskich. Próbowaly te kobiety z nami porozmawiać, ale nie można było odpowiedzieć nawet słowem, czy gestem, bo człowiek był pod karabinem strażnika. Przygnębiające wrażenie zrobił na mnie ten kontakt z całą kobiecą.

W czasie mego zatrudnienia w jednym z warsztatów i nocowania w celach roboczych, zetknąłem się w pewnym czasie z panem Ziarno. Siedział tam również Kudelik. Ziarno modlił się żarliwie, klęczał, zrywał się, a za chwilę znów klękał i dalej się modlił. W okresie, kiedy ja obydwu spotkałem, Ziarno nie był jeszcze osądzony, czekał na rozprawę. Widać było jednak, że spodziewał się najgorszego - kary śmierci. Płakał i mówił, że czeka go napewno kara śmierci, że śmierć idzie do niego. No i te obawy potwierdziły się. Poszedł kiedyś na rozprawę i już stamtąd nie wrócił; trafił do celi śmierci. Jak go pamiętam, był wysokim, przystojnym mężczyzną.

Siedział również ze mną Michalski. Nie wiem niestety, co się dalej z nim działo. Przebywałem z nim w celi roboczej dość długo. Przypominam sobie również siedzącego z nami wojewodę rzeszowskiego. Był to stary człowiek, z siwą brodą. Pracował, hodował jedwabniki i zajmował się uprawami w ogrodzie, który istniał przy więzieniu. Nie wiem, gdzie ten ogród był, ale chyba gdzieś w obrębie więzienia.

x

x

x

Przesłuchania naszej grupy, dla przygotowania aktu oskarżenia, odbywały się tylko w NKWD. Na zamku już nas nie przesłuchiowano. Trzeba się było pilnować, aby w kolejnych przesłuchaniach, przy wielokrotnie powtarzanych pytaniach na ten sam temat, czegoś nie zmienić. Nas nie bito przy przesłuchaniach, chociaż na stole leżał taki bat, a obok przesłuchującego siedział pies - wilczur. W NKWD uratowało nas to, że jeden z kolegów z naszej grupy, o pseudonimie „Spec”, reperował radia pułkownikowi NKWD. A że trafił na Rusa, a nie na Żyda, przyrzekł mu ten pułkownik oficerskim słowem honoru,

że będziemy żyć. Może nasze papiery gdzieś wsunął pod spód, bo bardzo długo po naszym przeniesieniu na zamek nie przychodziły dokumenty ze śledztwa? A kiedy przyszły, to była już inna sytuacja, już było po wojnie i może to wpłynęło na nasz los. Skorzystaliśmy chyba z łaski i poczciwości tego pułkownika.

Późnym latem 1945 r. mnie i całą naszą grupę miano sądzić. Rozprawa była dla nas wielkim przeżyciem. Odbywała się gdzieś na zamku, ale nie pamiętam dokładnie położenia sali rozpraw. Była to dość duża cela, z ławkami, przystosowana do rozpraw. Jak już mówiłem, podobno niektóre rozprawy odbywały się także w kaplicy. Między innymi tam sądzono „Jemiołę” i Terleckiego. Za poniżające dla Wojska Polskiego uważałem te honory i komendy wydawane przez oficerów - Polaków, kiedy na salę wchodził prokurator - Żyd w służbie NKWD. Ten prokurator przed oczami mi do dziś stoi jak zmora. Dostaliśmy po pięć lat więzienia, a prokurator stwierdził, że skorzystaliśmy z łaskawości Polski Ludowej, bo powinniśmy dostać kary śmierci.

Po wyroku wróciłem do pracy u blacharzy. Po parunastu dniach od naszego procesu zrobił się na zamku ogromny ruch, że będą wywozić więźniów do Wronek. Znowu ogromna emocja, bo nie wiemy, co będzie dalej, w nowym miejscu. Prowadzą nas do sekretariatu. Obowiązywała w więzieniu zasada, iż więźniów do ostatniej chwili nie powinien wiedzieć, co z nim ma dalej być. Tę zasadę zastosowano i do nas. Dostajemy jakieś karteczki, czytamy i okazuje się, że wychodzimy na wolność. Wybuch radości. Jak myśmy się cieszyli, całowali. Wyprowadzał nas jakiś podoficer i otwierając nam furtkę stwierdził, podobnie jak prokurator po wyroku, że powinniśmy byli tu zostać, a tylko Polsce Ludowej zawdzięczamy, że wychodzimy. Furtka się zamknęła, jesteśmy wolni.

Przed powrotem w rodzinne strony postanowiliśmy jeszcze odwiedzić jednego ze współwięźniów. Siedział z nami i wyszedł wcześ-

niej od nas mieszkający przy ul. Lubartowskiej kościelny z któregoś z lubelskich kościołów /mówił, że był to nieduży, drewniany kościółek/. Był w więzieniu bardzo uczynnym człowiekiem, otrzymywał dość często paczki, dzielił się z nami tym, co dostał. Wychodząc z więzienia zaprosił nas, byśmy go odwiedzili, kiedy my wyjdziemy. Postanowiliśmy więc odszukać go. Gościnnie nas przyjął, przenocował. Zbudziliśmy się u niego rano, tacy szczęśliwi. Krat już w oknach niema, jesteśmy wolni. Pożegnaliśmy się, zapraszał nas do ponownych odwiedzin, ale nie skorzystaliśmy nigdy z zaproszenia, bo nie było czasu na to. Niestety dzisiaj nie pamiętam już nazwiska tego uczynnego i gościnnego człowieka.

Po wyjściu z więzienia i powrocie do domu podjąłem pracę, jako kierowca w rejonie dróg w Mińsku. Niedługo po rozpoczęciu pracy, któregoś dnia jeździłem dość długo i po pracy wracaliśmy rowerami bardzo późno wieczór, razem z kolegą, który niedaleko mnie mieszkał, na Hucie. Na krzyżówce Mińsk - Siennica, było to już blisko domu kolegi, gdzie ja miałem na lewo skręcać do Marianki i Zakola, stanęliśmy chwilę i rozmawiamy. Było to już chyba blisko północy. On już chciał odjeżdżać, ja coś jeszcze do niego mówię, a tu nagle obskakuje nas gromada ludzi. Kto to był, nie wiem, bo noc była ciemna, twarzy nie było widać. - „Ruki w wierch! Dokumenty!” Dajemy dokumenty. Jego dokument przejrzeli i każą mu jechać, mój zatrzymali i każą mi zostać. Poszeptało w rowie ze czterech, jeden z pistoletem wyskoczył do mnie: - „Kierunek na Gliniak - Krzyżówka! Iść w tamtą stronę i nie oglądać się!” Ja mówię: - „Panowie! Za co mnie chcecie zabić? Przecież ja nikomu nic nie jestem winien! Z pracy wracam, mam ręce ubrudzone od pracy!” - „Niczewo! Mołczat’!” - i kieruje pistolet w moją stronę. Ja go w tę łapę z pistoletem uderzyłem ręką, pistolet mu wyleciał. Podskoczyło do mnie kilku, zaczęli mnie straszliwie kopać. Podniosłem krzyk, zacząłem przeraźliwie wołać: - „Ratunku! Kto w Boga wierzy!” Ten krzyk chyba mnie uratował. Mówią, że opatrność nie czuwa. Nieprawda. Tylko Bóg mnie wyratował z tego nieszczęścia. Był-

bym poszedł do ziemi, a jeszcze nie ochłonałem całkiem po zamku. Ten mój krzyk pomógł. Podskoczył ktoś, rozpędził ich. Któryś z nich zawołał: - „Idi w damoj!” Obity, zmaltretowany wsiadłem na rower i jakoś dojechałem do domu.

Na drugi dzień, jadąc rowerem do pracy, spotkałem milicjanta, który mi powiedział: - „Manius! Jak się czasy zmieniają, to ja ci powiem, kto na ciebie napuścił.” - „Co ty Heniek mówisz?” - ja mu na to- „Przecież ja tu nikomu brudu za paznokciem nie jestem winien.” Okazało się później, że był taki. Mieszkaniec Marianki, sołtys Pustała, już dziś nie żyjący. „V” u niego wisiało za okupacji, wysługiwał się Niemcom, a później się chciał rehabilitować. W owym czasie, kto palcem pokazał na kogo, to ludzie ginęli. Nic nie sprawdzano, nie analizowano, tylko kula w łeb, bo to wróg ludu.

x

x

x

W tym rejonie dróg, gdzie rozpocząłem pracę, przepracowałem 35 lat. Teraz jestem na emeryturze i gospodaruję - dokąd sił starczy - w Zakolu.